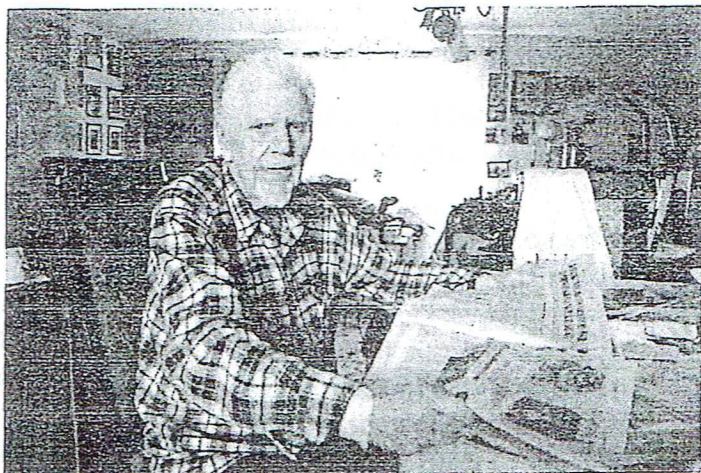


Bez gazety żyć nie mogę
- Społecznik, zakochany w Żuławce i „Dzienniku Bałtyckim”

Miał 12 lat, kiedy w tramwajach sprzedawał „Dziennik Bałtycki”. Jest z nami od 1946 roku, czyli niemal tyle lat, ile kończymy - 80.

Danuta Strzelecka



Po Przeczytaniu
Proszę
Zadzwoń
Zdzisław
58 683 81 28

Przez lata artykuły, które czytał w gazecie, były dla niego inspiracją do działań lokalnych, kiedy był sołtysem niewielkiej miejscowości Żuławka w gminie Pruszcz Gdański. O panu magistrze, który wyciągnął wieś z marazmu, pisali nasi dziennikarze. Ale nie tylko o tym, także o jego przeżyciach z czasów wojny, a był jednym z młodocianych Powstańców Warszawskich, oraz o tym, jak przywrócił pamięć niszczącemu cmentarzowi ewangelickiemu po przeczytaniu jednego z tekstów w „Echu Pruszcza”. To nasz wierny Czytelnik, który bez gazety żyć nie może.

50 gazet pod pachę

Zdzisław Czerwiński ma prawie 92 lata i wiele pamięta. Warszawiak od urodzenia, którego ojciec w 1939 r. był obrońcą Modlina, a w czasie okupacji rykszarzem, dorożkarzem, szmuglerem. Jako 10-latek mały Zdzisiek widział euforię pierwszych dni powstańczych, budował barykadę przed swoim domem na ul. Krochmalnej 74 na Woli, przeżył rzeź Woli i obóz Dulag 121 w Pruszkowie. Cudem też uciekł z transportu do Oświęcimia. Miał 12 lat, kiedy w kwietniu 1946 roku przyjechał z rodziną do Gdańska. To tu wtedy zarobił na pierwsze buty, sprzedając „Dziennik Bałtycki” w tramwajach nr 3 i nr 5.

- To był rok 1946. Miałem 12 lat - mówi pan Zdzisław. - Jakoś trafiłem do budynku przy Targu Drzewnym, gdzie mieściła się redakcja gazety, a na rogu, vis-a-vis „Rudego Kota” była zecernia i przez to okno dostałem gazety od zecerów. Brałem 50 gazet pod pachę i dalej w tramwaj. Nie wiem, czym ich zauroczyłem. Może tym, że byłem warszawiakiem, może któryś z tych zecerów też był z Warszawy. Ale u mnie gazeta była droższa. Wsiadałem do „trójki”, która jeździła z Targu Węglowego do Nowego Portu. A później w Nowym Porcie przesiadałem się na „piątkę”, która jechała Libermana (dzisiejsza Waryńskiego) przez Brzeźno i później na Grunwaldzkiej do Gdańska. I tak parę kursów zrobiłem. I za to kupiłem sobie pierwsze buty, bo ja w sandałach od Pierwszej Komunii poszedłem do powstania. Później, jak uciekaliśmy w Łowiczu z transportu, który wiozł nas do Oświęcimia, przez Sochaczew i Czerwińsk, te buty się już rozleciały. Jak byliśmy na wsi, to ja nie miałem butów, a była zima. Dostałem od wujka skórę ~~na~~ cielaka. Pan Stelmach zrobił mi spody z drewna, ale jak wszedłem w śnieg, to buty zostawały. Po jednym z wyjazdów ojciec przywiózł mi buty - jeden taki, a drugi taki [pan Zdzisław pokazuje widoczną różnicę między

wielkością butów]. To jak w nich chodzić? To ja za te zarobione z gazet pieniądze kupiłem sobie pierwsze buty - „pepegi” w sklepie Bata. Co to były za tenisówki. Oj, jak ja wtedy ganiałem. Pan Zdzisław w tych butach biegał i do szkoły podstawowej na Roosevelta, gdzie także trzeba było przynosić własne krzesło i gdzie codziennie dzieciom dawano łyżkę tranu i kubek zupy z dorsza, ale też wchodził na Biskupią Górkę, gdzie odbyła się egzekucja oprawców z obozu KL Stutthof. - Głośno wtedy o tym było. W gazetach o tym pisano, że się odbędzie, i potem, już po, też - mówi pan Zdzisław. - Jedenastu ich wtedy powieszono. Ktoś z nich jeszcze krzyknął „Heil Hitler”. Była to strażniczka obozu Stutthof. Byłem tego świadkiem. Ile ludzi tam wtedy było. Stały takie dodge bagażówki i na nich na taboretach ci zbrodniarze stali. Gdy jeden z samochodów nie chciał odpalić, to jeden z więźniów obozu popchnął ten stołek. Pamiętam to. Byłem na zdjęciu w tym tłumie.

Proces Forstera i odgruzowanie Gdańska

Co jedno ma wspólnego z drugim? Otóż innym historycznym momentem, który zapisał się w historii rodziny pana Zdzisława, był proces Alberta Forstera, gdańskiego gauleitera, szefa okręgu partyjnego NSDAP.

- W roku 1950 mój ojciec został aresztowany za udział w strajku w Nowym Porcie. Siedział w więzieniu przy Strzeleckiego obok celi z czekającym na szubienicę gauleiterem Forsterem. Opowiadał, jak czyścił tamtemu celę. Jak rzucił niedopałek papierosa i ojciec chciał go podnieść, to tamten ostentacyjnie butem go deptał. Byłem też na procesie Forstera. To było duże wydarzenie. Mnóstwo ludzi na to chodziło. Później go przewieźli do Warszawy. Gdy ojciec był w więzieniu, musiałem przerwać liceum, a chodziłem do „jedyńki”, i iść do pracy. Do „jedyńki” chodziłem z Romualdem Gawłem, byłem kolarzem, sędzią kolarskim i moim przyjacielem, Gieniem Bigusem i Lilką Karmazyn, siostrą poety Tadeusza Karmazyna. Wtedy to, mając 16 lat, brałem udział w odgruzowywaniu Gdańska. Gdańsk był strasznie zniszczony. Długa była nie do przejścia od Złotej Bramy. Teraz piszecie w „Dzienniku Bałtyckim”, że tam płyty październikowe wiszą, mają remontować. A wtedy przejście tylko bokiem było. Ulicę Szeroką głównie odgruzowywałem, która też była cała zawalona. Jak odgruzowywaliśmy, to cegły i gruz pakowało się w takie wagoniki. Te dobre cegły szły na odbudowę Warszawy.

Redakcyjne szlaki przeplatały się z codziennym życiem

Tak się w życiu pana Zdzisława układało, że w kolejnych latach też koło redakcji „Dziennika Bałtyckiego” krążył.

- Tuż obok redakcji, w „Rudym Kocie”, poznałem swoją żonę - opowiada pan Zdzisław. - Chodziliśmy tam na tańce. Potem, jak byłem dyrektorem Domu Meblowego przy Wałach Jagiellońskich, chodziliśmy też do restauracji w budynku redakcji. Dobra była. Pamiętam też redaktorów, z którymi później wielokrotnie rozmawiałem. To Grażyna Antoniewicz, Wawrzyniec Rozenberg, Grzegorz Kurkiewicz, Marek Adamkiewicz i Grzegorz Cwaliński.

Kiedy pan Zdzisław w roku 1978 trafił do Żuławki, małej wsi w gminie Pruszcz Gdański, postanowił tu osiedzieć, ale jego zamieszkanie do gazet zostało. Tym bardziej, że gdy został sołtysem, podjął wiele inicjatyw, o których pisał także „Dziennik Bałtycki”, wiele zainicjował po lekturze gazety.

- Do Żuławki przywiózł mnie kolega, urzekł mnie ten krajobraz, prawie jak z dzieciństwa, jak u babci w Grochowie koło Płońska, gdzie jeździłem na wakacje w czasie okupacji. Kupiłem gliniany dom ze strzechą i zamieszkaliśmy - mówi pan Zdzisław. - Była to zapomniana wioska. Zimą po pas w śniegu chodziło się do studni po wodę. Chciałem wyprowadzić wieś z marazmu, żeby była woda, świetlica wiejska, drogi. Założyliśmy Stowarzyszenie „Razem dla Żuławki” i działaliśmy. Udało się wybudować świetlicę, by mieszkańcy mogli się spotykać. To było nasze marzenie. Mam o tym jeszcze wycinek z gazety „Echo Pruszcza” - dodatku lokalnego „Dziennika Bałtyckiego” - jak wmurowaliśmy akt erekcyjny. Przez lata zbierałem wycinki z obu tytułów, jeśli dotyczyły Żuławki. Mam ich trochę. Tu jest o tym, jak magister, czyli ja, zostałem sołtysem, tu że w Żuławce zachowują tradycję i kołędnicy odwiedzają sąsiadów, tu jak nam wybudowali wodociąg, a tu przepis mojej nieżyjącej już żony Michaliny na ciasteczka ze skrawek.

Sportowe tematy, które lubił czytać w gazecie, zainspirowały pana Zdzisława do organizowania różnych sportowych wydarzeń w Żuławce, które integrowałyby mieszkańców, dawały pozytywną energię. To z jego inicjatywy powstała drużyna piłkarska, która grała w klasie B, a później A. O pierwszym meczu na nowym boisku i nowej drużynie napisano w „Echu Pruszcza” 28 maja 1999 r. Tekst miał tytuł „Złote kałesony”. - O, a tu mam wycinek z „Dziennika Bałtyckiego” z 8 listopada 2002 roku, mówiący o tym, że piłkarze z gminy Pruszcz Gdański uczczą na boisku Święto Niepodległości. To już był II Turniej Halowy Piłki Nożnej, który udało mi się zorganizować wspólnie z gminą - opowiada pan Zdzisław. - Było też dużo festynów i różnych zawodów, np. takie wyścigi rowerowe MTB dla dzieci, młodzieży i dorosłych, kolarskie organizowane razem z Romualdem Gawłem. Na rowery wsiadali pięcio- i osiemdziesięciolatkowie. Dwadzieścia lat byłem sołtysem. Dużo razem zrobiliśmy z mieszkańcami dla naszej małej miejscowości. To historia jest, dlatego zbieram najciekawsze wycinki artykułów dotyczące Żuławki. Teraz czytam w „Dzienniku”, że gazeta też ma zawody rowerkowe.

Dawna ewangelicka nekropolia

Ale najważniejszy wycinek to ten z artykułem „Kiedy kamień zaczyna mówić” z 2011 r. To była rozmowa w „Echu Pruszcza” z historykiem sztuki z Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Gdańsku o tajemnicach dawnego niewielkiego cmentarza w Krzywym Kole i o innych starych cmentarzach w okolicy.

- Po przeczytaniu tego artykułu zainteresowałem się tym bardzo mocno - mówi pan Zdzisław. - My tu w lesie w Żuławce też mamy taki stary cmentarz, ewangelicki. Po wojnie przez 66 lat cmentarz niszczał, był rabowany, rozkopywany. Pukałem do drzwi różnych instytucji, zarówno świeckich, jak i kościelnych, by zainteresować tematem zdewastowanego cmentarza. Gdy zainteresowanie wykazał nasz komendant straży gminnej, znalazłem pokrewną duszę, zabraliśmy się do pracy. Podczas prac porządkowych odkryliśmy 74 groby. Najstarszy pochówek jest z 1863 roku, zachował się nagrobek. Tak zabiegałem, że Stowarzyszenie „Razem dla Żuławki” dostało z nadleśnictwa 500 zł. Kupiłem za to modrzew, który ważył tonę. Słynny stolarz ze Straszyna, co robi wszystkie wyposażenia do kościoła, zrobił z niego krzyż. Co roku mieszkańcy Żuławki, Żuławy, Lisewca, młodzież niepełnosprawna ze szkoły w Warczu, 31 października zbieramy się tam, czyścimy z liści i zapalamy 80 zniczy. Opiekuję się tym cmentarzem do dzisiaj. Uważam, że warto mieć marzenia i chcieć je spełniać. Bo w życiu nie tylko liczy się praca zawodowa, są inne ciekawe zajęcia, jak np. bycie społecznikiem, wolontariuszem, co przynosi dużo satysfakcji. Potwierdzają to honorowe odznaczenia, które otrzymał pan Zdzisław - Zasłużony dla Miasta Gdańska, Zasłużony dla Ziemi Gdańskiej, Złoty Krzyż Zasługi dla Rzeczypospolitej i Lokalnej Społeczności nadany przez prezydenta RP i Honorowy Obywatel Gminy Pruszcz Gdański.

Czytam od deski do deski

- Gazetę czytam od pierwszego dnia, kiedy przyjechałem do Gdańska, przecież pisali o tym, że będzie egzekucja tych oprawców ze Stutthofu. Skąd o tym wiedziałem? Z gazety właśnie - mówi pan Zdzisław. - Czytaliśmy „Dziennik Bałtycki”, od kiedy przyjechaliliśmy do Gdańska. Mnie najbardziej te sportowe tematy interesowały, kiedy Lechia grała w piłkę. Na początku Lechia nie nazywała się Lechią. Nazywała się BOP - Biuro Odbudowy Portów i mecze rozgrywała w Nowym Porcie. Dużo było zawodników z Łodzi, ale później ich podkupili. Od ilu lat mam zaprenumerowany „Dziennik”, już nie pamiętam. Ale to było, jak do Żuławki się przeprowadziłem, bo wcześniej, jak mieszkalem w Gdańsku, to kupowałem w kiosku. Ja bez gazety żyć nie mogę. Czytam całą - od deski do deski. Wszystko mnie w gazecie interesuje - polityka, sport, krzyżówki. Skąd takie zamiłowanie do naszej gazety?

- Może stąd, że jako dziecko podczas okupacji w Warszawie sprzedawałem gazety w tramwaju, potem jak przyjechaliliśmy do Gdańska, to tutaj. Dzięki temu miałem te wymarzone buty. Na 80. urodziny życzę „Dziennikowi Bałtyckiemu” dużych nakładów i mało zwrotów - mówi pan Zdzisław.